

Pismo.

MAGAZYN OPINII

MAJ 2023 | NR 5 (65)

ESEJ

**Żużel: niedoceniony
polski fenomen**

**AI: bójmy się,
ale umiarkowanie**

REPORTAŻ

**Piccardowie:
trzy pokolenia
odkrywców**

LITERATURA

**Anja
Kampmann**

**Ania
Bas**



CENA: 18,99 zł (W TYM 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258



9 772544 502302

MAGAZYN OPINII

Pismo.

MAJ 2023 | NR 5 (65)



[Kup książkę](#)



17 MAJA 20:00 BARSTUDIO W PKIN

Kup książkę

MAGAZYN OPINII Pismo.

MAJ 2023

PROZA

Miło jest, gdy wszyscy są grzeczni | 6
ANIA BAS

Rozmowy | 90
NATASHA BROWN

POEZJA

Dyskretny urok kóz | 3
NORA BOSSONG

Rozważania o morzu | 35
ANJA KAMPMANN

what is poetry? | 45
ULRIKE DRAESNER

OBRAZ

W KADRZE | 4
DAVID MESKHI

FOTOREPORTAŻ Kimkolwiek jesteś, wiruj | 46
REHA BILIR, MAGDALENA KICIŃSKA

W RAMACH PISMA Drabinka | 66
ZOFIA CZARTORYSKA o NIKU KOŚMASIE

ŻARTY RYSUNKOWE
MICHAŁ RZECZNIK

OKŁADKA Trening czyni mistrza
HENRYK

FELIETON

2 | ROZMOWY Z K. A kysz, stara babo
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytanie czytelniczki

96 | À propos wysiłku fizycznego
ZUZANNA KOWALCZYK

APTECZKA

89 | Co w niej trzyma...
EMILIE PINE, pyta MATEUSZ ROESLER

PORTRET

16 | Bertrand Piccard okrąża świat
BEN TAUB o psychiatrze, który podróżował balonem

ESEJ SPORT

28 | Coś więcej niż odpad koksowniczy
JĘDRZEJ PAWLICKI tłumaczy fenomen wyścigów żużlowych

ESEJ TECHNOLOGIE

36 | E-sport. Wirtualny, ale prawdziwy
PAWEŁ KICMAN wyjaśnia, dlaczego gracz z joystickiem to też sportowiec

68 | AI Wars
ARTUR KURASIŃSKI o tym, kto wygrywa na rynku rozwoju sztucznej inteligencji

ESEJ ŚWIAT

54 | Sztuka kiwek, zwodów, zmyłek
BEATA SZADY sprawdza, co Argentyńczykom daje Messi i piłka nożna

ESEJ IDEE

78 | Pod dyktando twórców basenów
ZUZANNA KOWALCZYK o tym, że nie wszystko da się zmierzyć szkiełkiem i okiem

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wyszyńska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, **Kultura i sekretarzowanie redakcji:** Katarzyna Kazmierowska,
Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, **Idee:** Karolina Lewestam, **Ekonomia i Technologie:** Zuzanna Kowalczyk,
Redakcja: Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, Edyta Zielińska, **Korekta:** Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, **Wydanie Cyfrowe:** Ewa Pluta,
Projekt makiety: Jacek Utko, **Redaktorka Artystyczna:** Karolina Mazurkiewicz, **Skład i łamanie:** Marta Juchnowicz-Bierbasz,
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wyszyńska, **Marketing:** Mateusz Roesler, **Promocja:** Ewa Salamon,
E-commerce: Anna Ostrowska, **Prenumerata i subskrypcja:** Marcin Lipiec, **Fundraising:** Inez Jaworska

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Kup książkę



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma”.

(...) Może po prostu chciałam powiedzieć, co następuje: otóż WKURWIA mnie to, że jestem starą babą. Bez ostrzeżeń. Co ja komu robiłam? Przecież to nie ja! Patrzę w lustro i naprawdę, to nie jestem ja (...) Tyle już słyszałam o „niewidzialności”, która się przytrafia kobietom w wieku pomenopauzalnym. Ale kochana K., ze zdziwieniem stwierdzam, że ja siebie ciągle widzę, więc dlaczego nie widzi mnie nikt inny (oprócz moich przyjaciółek?) (...) Pracuję w korpo, jako menedżerka, praca właściwie intelektualna, nie jakoś super wysoko, ale ze stażem, jednak czuję, że tylko patrzą na mnie te młode wilczki, żebym pokazała po sobie, że „ja już, proszę panów, nie umiem w te komputery”, i poszła sobie grzecznie, bo nieestetycznie wyglądam, jak pokazuję slajdy. (...) Nie jestem do końca pewna, czy widzi mnie mąż, ale to długa historia. (...) Moja córka nie chce mnie w ogóle widzieć, ale ponieważ jest już bardzo dorosła, to obie najczęściej udajemy, że mnie nie ma, żeby jej jakoś za bardzo nie urazić moją starą gębą. Wszystko, co powiem, jest niestety wypowiedane przez tę właśnie gębę i mam wrażenie, że ona nie tylko mnie po prostu (mój boże, chwilowo?) nie lubi, ale jeszcze się mnie boi, bo a nuż skończy tak jak ja, stary i brzydki baboch, któremu zwisa i rosną włosy na brodzie, i tylko wstyd za taką (...). Oj, jak ja siebie czasem nienawidzę (...) Czyli pytam, masz może jakiś dobry krem? (...)

SB (Stara Baba)

—
Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. rozmowyzk@magazynpismo.pl

A kysz, stara babo

Najdroższa Stara Babo,

tak, mam dobry krem. Działa trochę jak serum z witaminą C. Tyle, że zamiast przebarwień usuwa podstępne złogi patriarchy – i nie stosujesz go na twarz, ale ładujesz w gaśnicę i nawalasz we wszystkich w sali konferencyjnej. To znaczy, nie mam go... Ale pracuję nad formułą! Dość nerwowo, bo chcę skończyć przed menopauzą (już słyszę z daleka jej kroki!). Ale potem produkcja i... a co tam gaśnica! *Think BIG!* Stajemy z megasikawką na Pałacu Kultury! Ognia! Na pohybel! Nie będzie Niemiec czy ktokolwiek inny pluć starym babom w twarz!

Tylko... pewnie nas nawet nie zauważą. Ba, gdybyśmy wjeżdżały im walcami na twarz, mówiliby „Oj, wysokie dziś ciśnienie”. Bo przecież na postmenopauzalną babę, jaką jesteś ty, ślepa jest nawet twoja córka. I to jest, droga Stara Babo, największe przekleństwo naszej płci – że kultura depcze i niszczy kobietę w wieku średnim, ośmiesza ją w oczach młodej dziewczyny i twierdzi, że wszystko, co powie, jest nieważne albo zatrute jak jabłko wiedźmy.

A po co odcinamy dziewczyny od wiedzy i mądrości tych nie całkiem jeszcze starych bab? Dlaczego na ich rady i wkurwy anony całego netu odpowiadają „Potknij się o cyciki”? Także po to, żeby żadna z nich nigdy, przenigdy nie powiedziała swoim córkom: „Nie lękajcie się, kochane. Ja przestałam być piękna i wciąż żyję”.

Zobaczyć starą babę, Stara Babo, naprawdę ją zobaczyć i jeszcze (o zgrozo!) pozwolić jej mówić, to to samo, co poluzować smycz młodym dziewczynom. To pozwolić babom szeptać dziewczętom „Sprzedają wam kłamstwa”. Młode dziewczyny pytałyby: „Jakież to kłamstwa, drogie baby?”, a krąg bab zaczęłyby się przekrzykiwać: „Że nie podzielicie losu waszych matek; że one podcierały wasze tyłki, a teraz podcierają tyłki ich matek, bo są głupie, a wam się to nie przytrafi, bo ciało zostało przekroczone, patriarchy zdeptany, a wy transcendujecie biologiczny los”. „I co jeszcze?” „Że *countouring* toną podkładu jest istotną częścią waszej tożsamości!”, „Że Only Fans to wyzwolenie z okowów pruderii!”, „Że super jest na Tinderze!”, „Że obcasy *housewives* z lat 50. to była opresja, a te same obcasy dzisiaj to wyłącznie wasz własny styl”. Jakaś baba mogłaby też westchnąć i rzec: „Mówią wam, że dziś możecie być, kim chcecie. Ale wasze ciała są pod gorszą presją niż nasze dwadzieścia lat temu; myśmy nie dbały o cellulit; nie znałyśmy pojęć w stylu *muffin top* (oponka nad dzinsami), *arm vagina* (normalna pachy) czy *batmany* (zwisły ramienne). Sophia Loren miała włosy pod pachami, na Boga! A wy? Gdzie są wasze włosy? Płyną samotnie do morza melancholijnymi zakrętami kanalizacji! Zrozumcie, kochane, że System zawsze szuka drogi, żeby was udupić; musicie być bardzo czujne, zwłaszcza gdy obiecują wam wyzwolenie”.

Widzisz już, Stara Babo, dlaczego stare baby są niebezpieczne? Dlaczego muszą być albo Grażynami, albo Karen, albo wiedźmami z bajki, zazdrosnymi o gładką skórę? Cemu trzeba mówić młodym dziewczynom: „Baby nie są waszą gatunkową mądrością; to podłe harpie, które chcą was otruć i rznąć waszych chłopców?”. Cemu trzeba odcinać dziewczęta od ich feministycznej schedy (Stare feministki „nie rozumieją, że make-up to twoje prawdziwe ja” – czemu? Bo to grube lesby w ogrodniczkach!)? W imię trwania Molochu stare baby muszą wiedzieć, kiedy zejść ze sceny (dokładnie w momencie, w którym coś zrozumiały), podczas gdy przysłowiowy Markowski może na niej tańczyć, póki trzyma go w kupie skórzany egzozkielet.

Uff. Poniosło mnie. Przepraszam Markowskiego i zasadniczo lubię tę piosenkę.

Powiem tak: chrzańć korpo. Kochaj córkę. I nieś jej dobrą nowinę: że życie trwa nawet, gdy widać smugę cienia. I to jest często życie pełniejsze mądrością i pewnością siebie. To kontrolowany tumiwizizm w duszy, który płynie z tumiwizmu pośladowego. Mów o tym – a pewnego dnia córka cię usłyszy. I przytuli cię, bo będziecie się kochać tak, jak mogą to robić tylko dwie kobiety: śmiejąc się z całego zła Systemu, z całego zła świata.

Kup książkę

SDK

Poezja w „Piśmie”
powstaje
przy wsparciu
**Staromiejskiego
Domu Kultury**
w Warszawie.

POEZJA

Dyskretny urok kóz

NORA BOSSONG

—

Na pochyłym pagórku wyłysiała łąka, wymłócona
krokami pełnych wdzięku dam stadnych.
Ich żółte, błędne oczy żarły trawę, a razem
z nią cały widok. W dole płynęła Łaba.
Całą noc przy paśniku, którego zamek
był pęknięty. Kozia szczeka Emmy łagodnie poruszała się
w dół i w górę, w dół i w górę, jej zęby przeżuwały
miliady żdźbeł. Po wodzie płynęły łódki.
Ciepło jeszcze pulsowało wśród rosy pod nabrzmiałą
skórą. Rankiem wzrok Emmy śmiertelnie syty
zwrócony był na krzaki, kołysały się spienione gałęzie.

Przełożył Tomasz Ososiński

**NORA
BOSSONG**

(ur. 1982), poetka, powieściopisarka i eseistka. Za swoją twórczość otrzymała wiele nagród literackich, m.in. Joseph-Breitbach-Preis (2020), Wilhelm-Lehmann-Preis (2020) oraz Thomas-Mann-Preis (2020). Ostatnio opublikowała m.in. tom wierszy *Kreuzzug mit Hund*, powieść *Schutzzone* oraz zbiór esejów *Die Geschmeidigen*. Mieszka w Berlinie. Wiersz pochodzi z tomu *Kreuzzug mit Hund*.

Wiersz pochodzi z tomu *Sąsiadki. 10 poetek niemieckich* pod red. Tomasza Ososińskiego, który ukaże się nakładem Wydawnictwa Warstwy. Premiera tomu odbędzie się podczas 8. Międzynarodowego Festiwalu Poezji Silesius.

Kup książkę



[Kup książkę](#)



Kup książkę

W KADRZE

DAVID MESKHI | *Nonexistent Spot* | 2013

Meskh, gruziński dokumentalista, pochodzi z rodziny odnoszących sukcesy trenerów sportu. W swojej praktyce fotograficznej koncentruje się na ruchu. Od kilkunastu lat przygląda się kulturze młodzieżowej skaterów w swojej ojczyźnie. Wraz z żoną, Salome Machaidze, i Tamuną Karumidze, wyreżyserowali także dokument o deskorolkarzach *When the earth seems to be light* (2015). Film zdobył nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Dokumentalnych (IDFA) w Amsterdamie za najlepszy debiut.



selected by

**EUROPEAN
IMAGES**

Projekt EUROPEAN IMAGES realizowany przez n-ost, Kajet, Ramina Mazura i Pismo.

Miło jest, gdy wszyscy są grzeczni

tekst ANIA BAS

AGNIESZKA. Z wyżyn, ze stoków, z gór zjechałam na bagnisko, na niziny, na depresję, w dolinę ze smętną rzeką i głośną oczyszczalnią ścieków. I tu, tu, tu, w tym miasteczku, w którym każdy każdego zna lepiej niż własną kieszeń, a kwaśne i jaskrawe przekroczenia sąsiadów są podstawą niedzielnych rozmów, tych nad grobami, nad sałatką majonezową, przed ołtarzem i przed telewizorem, tu, tu, tu spotkałam prawdziwą miłość. Nie był to sen czy złudzenie. To było w dzień, kiedy on, on, on podjechał zardzewiałym polonezem pod stację benzynową, na której właśnie tankowałam swoją szkodę. I z jego samochodu wysiadła ona, ona, ona.

NARZECZONY. Dzień jak dzień. Narzeczoną wiozłem do fryzjera. Brakło paliwa. Tankowaliśmy. Jakaś panna też tankowała. Wdała się z narzeczoną w rozmowę na temat paznokci czy grzywek. Nie słuchałem. Mój błąd.

AGNIESZKA. Ciężko o pracę w zawodzie wśród krokusów, kóz, oscypków. Nie chciałam być już dłużej na posyłki w kiepskiej firmie. Turystykę kończyłam, bo chciałam zwiedzić świat, a nie oprowadzać niemieckich turystów po tych samych trzech szlakach. Szlag mnie trafiał, kiedy wybierali tę samą trasę z rzędu przez trzy miesiące.

Urozmaicałam sobie dzień, oprowadzając ich po podbarwionej rzeczywistości. – *Rechts ein Tal der wilden Pfauen* (Po prawej dolina dzikich pawów) – kłamałam. – *Wenn du hundert Zloty in einen Bach wirfst, wird dein Traum wahr* (Jeśli wrzucisz sto złotych do strumyka, spełni się twoje marzenie). – Albo – *Hier, auf diesem Stein, komponierte Chopin sein größtes Werk, die Mazurka von Dąbrowski* (To tu, na tym kamieniu, Chopin skomponował swoje największe dzieło, Mazurek Dąbrowskiego).

Nikt się nigdy nie połapał, bo ci turyści to nie był wykształcony klient, tylko zgrupowanie ludzi po siedemdziesiątce, którzy jeszcze mogą chodzić, starają się dbać o płuca i chcą tanich wczasów, autokaru z klimatyzacją, bufetów, wycieczek po terenie górzysto-płaskim sprzyjającym adidasom, pantoflom tudzież japonkom.

Rzuciłam to w diabły, kiedy Ryszard, mój wiecznie spocony szef, na menedżera zatrudnił swoją córkę – a mamiał mnie obietnicami tej posady przez lata, wyciskał ze mnie soki, namawiał do kiepsko płatnych nadgodzin.

To było jak trzaśnięcie w twarz. Z płaskiego. Otwartą dłonią. Nie, to nie.

Zarzuciłam sieć i znalazłam coś lepszego w dwa miesiące, ale na nizinach. Prawie nad morzem, a jednak ponad godzinę drogi do brzegu w upalny dzień w szczycie sezonu, z czego trzydzieści minut stoi się w korku,

a potem jeszcze szuka się miejsca do zaparkowania.

Teraz żyję wśród lasów pełnych kleszczy. Tu też przyjeżdżają niemieccy turyści, głównie ci, których nie stać na góry.

NARZECZONY. Nie poznałem jej od razu. Bo normalnie wisi na telefonie i gada po niemiecku, nie ma przyjaznej twarzy. A tu rozmawiała po polsku i stała przy aucie jak przy własnym. Poszłem płacić. Jak wróciłem, już się wymieniły telefonami. Nawet tego nie kryły. Pa, pa! Pa, pa. Pojechaliśmy. Narzeczoną miała próbę włosów na jedenastą.

AGNIESZKA. Szybko się tu zaaklimatyzowałam. Wynajęłam kawalerkę i wpadłam w wir pracy. Żywiłam się głównie kajzerkami i gotowymi surówkami ze sklepu samoobsługowego Owad o rozległym i zaskakującym asortymencie: owoce kaki, papryczki padron, melony miodowe, mleko kokosowe, oliwki nadziewane migdałami.

W pracy sami niekompetentni ludzie, wypaleni życiowo, na uwięzi kredytów, dzieci i małżonków. Ci, którym się powodzi finansowo, pilnują, żeby u nich rabatki przed domem były kolorowe, jaskrawe. Wieczorem, jak wracam z roboty, to widać kobiety w gumowych rękawicach. Ręce po łokcie w ziemi.



Pielą. Zamiast zrobić coś dla siebie, na przykład poczytać. Zginają kręgosłupy nad grząd-kami, rośnie im garb.

—
BIBLIOTEKARKA. Agnieszkę polubiłam od razu. Rzadko się zdarza, że ktoś się tutaj prze-prowadza. Jeszcze rzadziej, że zaraz po prze-prowadzce przychodzi do biblioteki i zakłada kartę, wypożycza książki, czyta je, a nie tylko ustawia na pokaz, na stoliku, dla gości.

Sama mało czytam, chciałabym więcej, ale brakuje mi tak zwanego wolnego cza-su. Udaje mi się przeczytać jedną książkę w miesiącu, a to i tak sporo jak na tutejsze warunki.

Tu czytają głównie kobiety, które przeszły na emeryturę. Kobiety z dziećmi zwyczajnie się nie interesują beletrystyką. Tu się przy-kłada większą wagę do czytania kolorowych pism, do trzymania ręki na pulsie mody. Ja się nie dziwię, kobiety, które po ślubie albo po dziecku straciły formę, zaraz po formie tracą męża. Ja tak straciłam. Były mąż nie płaci zbyt regularnie alimentów.

Po pracy jeszcze udzielam korepetycji z niemieckiego, a mama pilnuje mi syna, którego rozpuszcza. I boję się, że on wyro-śnie na kopię swojego ojca. Zwyczajnie nie mam czasu go wychować sama. Jak kładę się spać, to czytam kilka kartek, żeby się odciąć, zapomnieć. Głównie klasyka: *Anna Karenina*, *Pani Bovary*, *Zaczarowana Góra*, *Zbrod-nia i kara*. Literatura współczesna nie ma w sobie tego, czego szukam. Czego szukam? Sama do końca nie wiem.

To języki obce nas zbliżyły z Agnieszką. Przy moich koleżankach z pracy, przy in-nych wypożyczających rozmawialiśmy po niemiecku, żeby nie czuć się podsłuchiwane, ale też aby nie wyjść z sprawy. Język nieuży-wany zanika.

—
AGNIESZKA. To był spontan z tą posadą. Ni-gdy nie byłam na Pomorzu Zachodnim, nie jest to miejsce bardzo widokowe, na-syczone turystycznie, o lazurowym niebie. Nad samym morzem, w miejscowościach oczopląs i lunapark, ale pół godziny autem w głąb lądu – bieda, zdrada i patologia. Ta-kie *Herausforderung*, choć tu wolą mówić *challenge*.

Byłam zdziwiona, że krok od granicy, a po niemiecku ludzie mówią ty, ty. Za to ćwierć miasteczka było w Anglii na sezon i się tam nie przyjęło, kolejne ćwierć ma stry-jenkę w Stanach, która w odwiedziny jakoś nie zaprasza. Połowa próbowała szczęścia w Berlinie, ale bez języka za granicą to się głównie kradnie używaną odzież.

U mnie w pracy rządzi małżeństwo z dłu-gim stażem, nastawione optymistycznie i na wzrost. Obecnie inwestują w konie, choć mają za sobą fazę kajakową, która zaczęła się, kiedy Europa zafundowała miasteczku przystań.

Jak przyjechałam na rozmowę, pokaza-li mi region ze wszystkich dobrych stron: restaurację nad rzeką, park z zabytkowymi dębami, prywatne muzeum w poniemiec-kim dworku, szlaki wycieczek pieszych: „Tropem borowika” i „Tropem kukułki”. A także ich chlubę i główny ból głowy: odnowiony, wypielęgnowany obiekt wycieczkowy – ho-tel Pod Lasem, potocznie zwany Pod Klesz-czem, który za często stoi pusty.

Rozległa rewitalizacja terenów zielonych w tej części powiatu zmobilizowała szefo-stwo do wymyślenia posady animatora lo-kalnego: dofinansowanie z Unii, kontrakt na trzy lata, samochód służbowy, laptop, te-lefon. Wizytówki. Jak wymieniałam byłemu szefowi te plusy, oko mu zbiegło. Cel pracy: zapewnić ten pusty hotel, wykorzystując me-tody zrównoważonego rozwoju.

—
NARZECZONY. Mówią na nią Paszcza, bo taka drapieżna. Max do niej zagadał, na zar-ty, o cychach, a ta do niego z ryjem i skargą do kadr. Obciął mu premię za nieprofes-jonalne zachowanie. Poszło po mieście, żeby nie dotykać. Nie ma nawet na co patrzeć, nie jest modelką, reklamować może tylko majtki XXL, z nogawkami do kolan. Przy narzecz-onej wygląda jak słoń.

—
AGNIESZKA. Jak dzwoniłam do byłego szefa, to opowiadałam, jakie świetne mam kole-żanki w pracy, jaki miły nastrój, jaka piękna miejscowość, czyste powietrze i bujna przy-roda. Choć tu zimą co drugi dom pali opa-kowaniami wielomateriałowymi, ludzie je-dzą szczątki zwierzęce, na miasto wychodzą

z reklamówką, w kapciach. Musiałam się przyzwyczaić.

Ten impas, oczy zgazzone, usta wyschnię-te, jakby już nikt o niczym nie marzył. Choć widać gołym okiem, że chcą pieniędzy, naj-lepiej takich, których nie trzeba zarabiać. Naj-lepiej jakieś lotto, miliony, które same wpadają do kieszeni. Już nawet nie trzeba nic umieć, nie trzeba mieć pasji.

— Jakie jest twoje największe marzenie? — spytałam siedmioletnią córkę szefostwa, a ta wyrecytowała listę na zakupy do super-marketu: przedmiot, duży przedmiot, bardzo różowy przedmiot, elektroniczny przedmiot.

— Ale ja pytam o MARZENIE.

Spojrzała na mnie jak na ułomną.

Nastawiłam się na przetrwanie, na bu-dowanie CV. Trzy lata to nie są całe wieki. Trzy lata to dobra strategia dla rozwoju oso-bistego. Trzy lata, a potem hyc! do Lizbony czy Rzymu, gdzie to doświadczenie lokalne będzie tylko procentować. Trzy lata, a potem *Auf Wiedersehen*.

Czas wolny zainwestowałam więc w ję-zyki, którymi nikt tutaj nie mówi. W rozwój duchowy. *O grande valor do homem é sua im-previsibilidade* (Wielką wartością człowieka jest jego nieprzewidywalność). *Amo cammi-nare al mattino* (Kocham spacerować o poranku).

Zaprzyjaźniłam się z Lucyną, bibliotekar-ką, której podnosiłam frekwencję, często wy-pożyczając książki: słownik polsko-portugał-ski, rozmówki, przewodnik po Rzymie.

— Lubisz podróżować? — To ona, ona, ona zadała mi to pytanie.

—
SZEFOWA. Ta posada to marzenie wielu osób. Chcieliśmy inwestować lokalnie, jesteśmy z mężem zaangażowani w rozwijanie talen-tów w naszym regionie, ale żaden, powta-rzam, żaden z kandydatów z naszej gmi-ny nie spełniał kryteriów. Do tej pracy była konieczna znajomość języka na poziomie zaawansowanym, doświadczenie, pomysło-wość, a tu kandydaci z miasta ani be, ani me.

I powiem szczerze, że Agnieszka robi-ła na nas wrażenie. Przyjechała na rozm-owę z drugiego końca Polski, przedstawiła wybitną prezentację, która nie tylko zapa-dła nam w pamięć, ale i nas ożywiła. Ona miała w sobie to coś, pasję i energię, o które w mieście trudno.

Pomyśleliśmy, że to będzie dobre posunięcie: zatrudnić kogoś ambitnego, wykształconego, z doświadczeniem, z językami, aby podnieść poprzeczkę. Oczywiście liczyliśmy się z tym, że zostanie to źle odebrane. Ale w biznesie kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa.

—
AGNIESZKA. Nie było łatwo. Miasto przeciwko mnie. Ludzie patrzyli na mnie wilkiem, spod brwi, z nienawiścią. Jakbym ich okradała. Przyzwyczaiłam się.

Ale chamstwa w pracy nie toleruję. Taki młodziak, ledwo mu wąs urósł, a on mi tu w biust zagląda, komentuje miseczki. Ucięłam to, zanim się rozpędził i zszedł do majtek. Ale po firmie powiało chłodem. „Uwaga! Problematyczna koleżanka” – poszło SMS-em do brygady. Szybko się rozniosło po mieście. W mięsnym chcieli mi sprzedać wyschniętego kurczaka za karę, w piekarni zaoferowali wczorajszy chleb. To wtedy zdecydowałam się robić wszystkie zakupy w sklepie samoobsługowym Owad. Da się. Choć nie jest ani smacznie, ani zdrowo.

Nie popełniłam błędów młodości, zdecydowałam się trzymać wszystkich krótko, w ryzach. A szefostwu przedstawić regularny raport o zmianach, o wzrostach, o przedsięwzięciach, o zyskach i o tych pomysłach, które profitują, jeszcze zanim wejdą w życie.

Zacząłam małymi, ale pewnymi krokami i użyłam angielskiego: *a restorative weekend in the woods*. Skierowany do zapracowanych, zamożnych kobiet po pięćdziesiątce z pobliskich dużych miast, sprzedał się na pniu, a wymagał tylko kolorowych, acz dietetycznych posiłków, instruktorki jogi o poranku, tras spacerowych z przystojnym przewodnikiem, popołudniowej herbaty z ciekawym człowiekiem („kobieta sukcesu po rozwodzie”), wieczorku pod hasłem „zapoznajmy się” i pożegnalnego lanczu.

Szefowa chciała poznać wszystkie moje triki. Skąd się te kobiety dowiedziały o tym weekendzie? Jak mi się udało sprzedać wszystkie dwadzieścia miejsc w dwa tygodnie? Chciała, bym wyłożyła kawę na ławę, chciała mi nawet siedzieć przy klawiaturze, patrzeć na ręce. A kys! A kys!

Tak naprawdę moje sposoby są proste: *buy-one-get-one-free* na etykietce, choć w praktyce ten jeden kosztuje tyle co dwa!

Wszystko opisane językiem przemawiającym do portfela bogatych samic: nie żaden „babski wyjazd”, który traci tanim alkoholem, pokojem bez klimatyzacji, suchym mięsem w śniadaniowym bufecie. Użyłam języka inspiracji i pożądania: niezapomniany czas z przyjaciółką; inwestuj w swoje wnętrze; aktywny wypoczynek; wypróbuj oczyszczające ze zmęczenia i smakowite menu; dieta dopasowana do indywidualnych potrzeb; las, który koi ciało i duszę; no i kilka haseł: *Active Rest*, *Time for Yourself*, *Nature Cure*. Zapracowane kobiety z kartą kredytową się na to nabierają.



—
NARZECZONY. Jej blachy widzieli w różnych stronach, jeździ tu i tam, jakby miała mrówki w gaciach. A pracę ma siedzącą, więc od razu źle mi to wyglądało. Dlaczego taka się przemieszcza? I to sama? Szwindel? Szpieg? Wtyka?

Do tego wywyższała się, kiedy mogła. Lokalnie nie piła ani nie jadła. W Owadzie ją widziałem może ze dwa razy. A takie, co to na miejscu nie wydają pieniędzy, to głównie zimne suki albo córki biznesmenów. Jadą grzywkę podciąć sto kilometrów od miasta.

—
AGNIESZKA. Postanowiłam sobie, że nie będę się zaharowywać. Napatrzyłam się na zapracowanych ludzi, którym to nie wyszło na

dobre: zawały, udary, rak. I nie miałam też zamiaru dać się nabrać na teksty, że jestem częścią firmy, dać się zwieść obietnicom awansu, stałej pracy, lepszego samochodu.

Odbierałam nadpracowane godziny regularnie, w dniach, kiedy nic się nie działo. Taki, powiedzmy, smutny lutowy wtorek, wszyscy dłubią w uchu długopisem, udają, że jakaś tabelka wymaga wypełnienia, a ja nad morzem. Grzebię gołą nogą w lodowatym, brudnym piasku, patrzę na spienione morze, na jego rozmiar i ogrom. Wdycham jod, oczy odpoczywają od komputera, ciało się rozluźnia.

Morze zimą to ogrom plaży bez upierdliwych klientów. Przestrzeń, w której można się zgubić, zapomnieć, zatracić. Wiatr tu resetuje ból w klatce piersiowej, szmer w głowie, skurcz w gardle, spięte łydki. Taki dzień stracony jest najlepszy. Choć napędza mnie on tylko do pracy i odkładania pieniędzy na wczesną emeryturę, a nie do rzeczy większych i niezrozumiałych, jak szukanie Boga czy sensu istnienia.

—
KOLEGA Z PRACY. Była inna, nie tylko z wyglądu. Potrafiła się tak spojrzeć, że pierwszy odwracałem wzrok, a ja dobry w to jestem. Wiem, jak kobietę sobie na kolano sprosić bez podnoszenia dupy, ja patrzę i sama przychodzi. Ale Paszcza się nie dała.

—
AGNIESZKA. Znalazłam kilka plaż: mało uczęszczanych, schowanych, z daleka od parkingu, pustych. Ta pierwsza zima to było poszukiwanie takich moich miejsc. Z turystycznego punktu widzenia to miejsca unikatowe, specjalne, odległe, trudno dostępne, dziewicze, o których wiedzą tylko nieliczni tubylcy.

Oprócz plaż zainteresowałam się lasami. Ścieżkami pomiędzy dębami, co Niemca pamiętają. Trasami, którymi można dojść na polanę koło rzeki, na wzgórze, na którym jeszcze nie ma wiatraków ani anten sieci komórkowych. To rzadkie miejsca. Czyste. Zaznaczałam je sobie na mapie. Opisywałam ich naturę słowami, które nęcą.

Pomysł na napisanie przewodnika po Pomorzu Zachodnim wyszedł od Lucy. To ona też podpowiadała, co by w takim przewodniku mogło być: stare dworki

poniemieckie, młyny, folwarki, fabryki. Po-tem dorzuciła pomysły przyrodnicze: miej-sca łęgowe bocianów, lasy słynące z dzięcio-łów, zakola rzeki, w których mieszkają bobry, wciąż jeszcze nie wyeksploatowane tak jak kukulki i borowiki.

Zacząłem pisać w pracy, na żółtych, lep-kich karteczkach. Niby rzeczy, które muszę sprawdzić, załatwić. Mnożyło się to szybko, kilkanaście notatek dziennie. W wolne soboty, rano, w piżamie i z kawą w rękę spisywa-łam je do pliku Word.

— SZEFOWA. Jak mówiłam, Agnieszka ma w so-bie to coś, czego szukam u pracowników: umiejętność rozmowy z klientem, zaangażo-wanie, taki szczególny rodzaj energii, który mi sugeruje, że jest zainteresowana tym, co robi, a nie tylko odwala robotę jak zło ko-nieczne.

Zatrudniam ludzi od prawie dwudziestu lat, więc wiem, ile od nich mogę oczekiwać. Są tacy, co to, jak ich zatrudniam, od razu wiem, że odejdą po sezonie. Ale jaki mam wybór?

Coraz częściej muszę zatrudniać obcych, bo tutejsi nie doceniają tego, co mają. Nie pojawiają się w pracy na czas, robotę robią źle. Miałam takie kiepskie pokojówki: przy mnie pokój wyczyściły na cacy, a potem klienci się skarżyli, że zastali cudze włosy w odpływie prysznicowym, obłeńskie odciski palców na lustrze, że nie było herbaty zioło-wej przy czajniczku, a do tego źle poodku-rzane, jakiś piasek na wycieraczkę.

Agnieszka to był taki trochę nieśmiały po-czątek. Dziewczyna z południa. Po niej przy-szły inne dziewczyny, ale ze Wschodu: Boj-ka, Olena i Złata. I każda z nich dużo z siebie daje. To są dziewczyny, które chcą w życiu coś osiągnąć, mają jakiś cel, i to widać. I ja je muszę traktować gorzej niż dziewczyny stąd. To boli, ale innego wyjścia nie ma, żeby mi ludzie nie spalili domu.

Miejscowe panny chcą od życia mniej i najlepiej za darmo. Tu, jak ktoś sprzeda mieszkanie po rodzicach, to nie inwestuje w rozwój, we własne przedsięwzięcie, w na-ukę, ziemię czy inną nieruchomość, nie. Tu taki to wyda na nowy samochód i wakacje zagraniczne. Jakby nikt tych ludzi nie uczył zarządzania pieniędzmi.

Znam sporo osób, które już przed pięt-nastym przychodzą pożyczyć na życie. Za-pisuję te sumy, wymagam spłat, bo inaczej bym zbankrutowała. Pensje wydają szybko i na niepotrzebne rzeczy: papierosy, firmowe buty, fryzjera, zabawki dla dzieci. A potem nie mają co do garnka włożyć.

Promuję oszczędzanie. Jak się nie zaosz-czędzi, to się na kredyt nie jedzie na wakacje i nie urządza hucznych urodzin.

To patrzeć na ten społeczny dół mnie tak zawsze dopingowało do inwestowania w projekty, które są skierowane do osób my-słących, wykształconych, skupionych na rze-czach ważnych. Stąd mamy i hotel, i resta-urację, i stadninę.

Co roku funduję podręczniki do szkoły dla przynajmniej piątki dzieci, które chcą się uczyć, a pochodzą z rodzin ubogich, często patologicznych. Mam takich podopiecznych, co to na studia wysłałam, sponsorowałam im książki aż do magistra. I oni potem tu nie wracają. Niektórzy podziękują, ale większość nie. Nie robię tego zresztą po to, żeby ktoś mi tu z kwiatkiem przychodził. Zwyczajnie mam taką potrzebę.

— AGNIESZKA. Nie sądziłam, że to mnie tak wciągnie. Choć zawsze miałam lekkie pióro. Słowa uwalniałam długopisem. Z polskiego miałam piątki, a pracę magisterską napisa-łam w miesiąc, pracując na pełny etat. Tylko że co innego napisać wypracowanie na za-dany temat, a co innego samemu się zebrać w sobie i napisać to, co się chce: przewodnik.

Ten rozpęd, ta werwa, która mnie ogar-nęła w pierwszych tygodniach, zaczęła przy-gasać, gdy zauważyłam, że się w moich ob-serwacjach powtarzam. „Ciche i przytulne miejsce” było i w opisie mojej ulubionej łąki, i ulubionej plaży.

Powiedziałam o tym Lucynie. Cierpliwie mnie wysłuchała i, jak to Lucyna, miała kilka pomysłów, jak się z tym uporać. Zapropono-wała, żebym przyjrzała się przymiotnikom, żebym pomyślała o opisach, które mogą pa-sować tylko do tej łąki czy plaży.

Zignorowałam ją. Wtedy jeszcze nie my-ślałam o Lucynie jak o przyjaciółce albo re-daktorze. Ale jej słowa chodziły mi po gło-wie, zainfekowały mi myślenie. I ta cicha, przytulna plaża po kilku miesiącach stała

się „plażą o zmiennej aurze klimatycznej, ze świeżym, zasolonym powietrzem, które pobudza do myślenia i istnienia”.

— BIBLIOTEKARKA. Dużo osób ma talent. Sama myślę, że swój marnuję, że życie mi się tak poukładało, że nie mam jak się rozwijać i in-westuję czas tylko w to, w co muszę. Chcę, żeby mój syn mógł przede wszystkim od-kryć, w czym jest dobry. Bo znam wiele osób, które nawet nie mają świadomości swoje-go talentu. Nigdy nie spędziły same ze sobą dość czasu, żeby się zorientować, co im ła-two przychodzi, co mogłoby im w życiu spra-wiać przyjemność.

Agnieszka ma wiele talentów, ale nie do końca była ich świadoma. Namawiam kobie-ty do takiego uważnego spojrzenia w swoje wnętrze, przyglądania się własnym myślom i emocjom. I działania. Coś ci w środku każe uszyć sukienkę z firanki? Szyj. Coś ci pod-powiada namalowanie obrazu na przeście-radle? Maluj! Agnieszka, jak jej podpowie-działam, żeby pisała, zaczęła pisać.

Może to wariackie podejsście, ale widzę, jak sama siebie codziennie ograniczam. Własnoręcznie sobie skrzydła podcinam, bo u mnie brak skupienia na pracy może skończyć się tym, że zabiorą mi syna. Były mąż wciąż próbuje udowodnić, że nie potra-fię wychować dziecka.

Mama mi pomaga i ja to doceniam, choć nie jest to pomoc, która pozwala mi o siebie zadbać, wsłuchać się w siebie. Mama pomaga w określonych godzinach, w okre-słony sposób. Jak bym chciała, żeby popilno-wała Grzesia, bo chcę iść na samotny spacer, to nie. Ale jak udzielam korepetycji, to tak.

Dużo udaje mi się zrobić w pracy. Prze-rwa obiadowa to czas tylko dla mnie, a nie na jedzenie zupy w barze mlecznym. I choć muszę udawać, że zajmuję się jakimiś for-mularzami i dlatego zamykam drzwi, to we-dług mnie i tak warto. W przerwie obiadowej się uczę, obecnie wczytuję się w prawo rodzinne.

— AGNIESZKA. Nazbierało się tego materiału na tyle dużo, że poczułam się jak prawdziwy od-krywca. Stwierdziłam, że mam dar do przy-glądania się nowym miejscom, a nie tylko

pęd do jechania w nieznane, by zaspokoić głód przygody.

Przewodniki papierowe dawno przestały się sprawdzać, są przeterminowane w dniu wydania, więc postanowiłam moją wiedzę dzielić się internetowo, nowoczesnie. Naszukałam się tytułu. W końcu sam do mnie przyszedł, jak to bywa, kiedy byłam zajęta czymś innym: *Odkrywanie dna. Pomorze Zachodnie*.

Użyłam taktyk marketingowych, by rozpromować mój newsletter i naszpikowałam bloga informacjami, których podróżni poszukują najczęściej: gdzie dobrze zjeść, tanio zaparkować, dobrze się wyspać, odpłynąć. Powoli rozwijałam to moje prywatne przedsięwzięcie, zainwestowałam w aparat i zaczęłam się udzielać na platformach społecznościowych. Teraz widzę, że to był błąd.

—
KOLEGA Z PRACY. W pracy siedzę tak, że widzę jej komputer, a tam zawsze tabelki i skrzynka pocztowa, więc jak raz zobaczyłem zdjęcia, to się zainteresowałem trochę bardziej, telefonem sobie przybliżyłem jej ekran. I na nim było widać i morze, i fajną, moką nogę innej kobiety.

—
AGNIESZKA. Czy lubię podróżować? Stanie w miejscu mnie drażni, osłabia, więc ten ruch, zamęt, zmiana to jak tabletki na ból głowy, jak plaster na pęcherze, jak krople na katar. Czy zawsze tak miałam? Nie wiem. Od kiedy mogę, przemieszczam się. Ale pamiętam dzień, w którym w moje życie z impetem wpadło słowo „podróżować”. Zastąpiło inne: wagary, ucieczka, nieobecność.

Gdzie byłeś? Podróżowałam.

To brzmiało jak zajęcie z celem, a nie unik czy samoobrona. Nauczyciele reagowali na taką informację inaczej, miękko. Kobieta od niemieckiego zaczęła mi przynosić wyćinki z niemieckich magazynów: *Podróż po Alpach. Bawaria latem. Nieznane oblicze Munsteru*. Starszy pan, który uczył geografii, zatrzymał mnie raz po lekcjach, wręczył mapę regionu i życzył powodzenia. Z oczu patrzyło mu dobrze, ale i tak nie podziękowałam. Wtedy jeszcze uczyłam się ludzi. Nie do końca wiedziałam, jak trzymać ich na bezpieczną odległość. Ale zdecydowanie rzadziej już podróżowałam w czasie lekcji,



20th
Millennium
DOCS
AGAINST
GRAVITY
FILM FESTIVAL

12-21.05.2023 KINA
WARSZAWA / ŁÓDŹ / GDYNIA / BYDGOSZCZ
KATOWICE / WROCŁAW / LUBLIN / POZNAŃ

23.05-04.06.2023 ONLINE
MDAG.PL

MDAG

PROGRAM / BILETY / KINA: MDAG.PL

WYKONAWCA



ORGANIZATOR



ORGANIZATOR



ORGANIZATOR



ORGANIZATOR



WSPÓŁORGANIZATOR



WSPÓŁORGANIZATOR



WSPÓŁORGANIZATOR



WSPÓŁORGANIZATOR



bo zaczęło mi zależeć na nauce. To było dla mnie nowe wyzwanie, nie wyniosłam tego z żadnej rodziny zastępczej.

I kiedy ona, ona, ona zadała mi to pytanie, nawet się nie zaważałam, nie zastanawiałam nad konsekwencjami swojej odpowiedzi.

— Tak. Podróżowanie to dla mnie jak oddychanie czystym powietrzem.

Zaśmiała się śmiechem perlistym, kokieterijnym, pokazując zęby. — Dokąd byś mnie zabrała? — spytała jeszcze.

— Brzmiało to jak zaproszenie i na plażę, i na zawsze.

—
NARZECZONY. Mnie od razu zdziwił ten brak rodziny. Żadnego rodzeństwa, rodziców,

dzieci. Jak to? Chyba bocian jej nie przyniósł. Tu wszyscy są tak dość ciasno powiązani ze swoimi, w niedziele się chodzi na obiady. W święta spotyka. Narzeczona co weekend piecze ciasto dla nieproszonych gości, bo goście zwyczajnie wpadają. A Paszcza, wiem od Maxa, sama. Bo Max ją trochę obserwował.

—
AGNIESZKA. Zorientowałam się latem, więc prawie rok po przeprowadzce, że mnie śledzą i monitorują. Rozbawiło mnie to, że ich amatorskie próby zbierania dowodów. Tylko na co? Mieczysław, z niejasnych dla mnie powodów zwany Maxem, nagrywał każdą naszą rozmowę. Niechłujnie włączając telefon w drodze do mojego biurka i wystawiając go

Kup książkę

z kieszeni koszuli, żeby lepiej zbierał. Robił zdjęcia mojego samochodu i miejsc, w których parkowałam. Byłam pewna, że przeczesuje mi biurko, więc regularnie zostawiałam na żółtych karteczkach jakieś bzdety, wymyślone słowa w językach obcych, enigmatyczne rysunki, by zrobić mu przyjemność.

Ale od kiedy przyuważyłam Maxa włożonego po mnie do pomieszczenia z kublami na śmieci, zaczęłam uważać, zabierać ze sobą do domu wszystkie prywatne notatki i palić je w popielnicze na mikroskopijnym balkonie po przepisaniu do komputera.

– Czy to paranoja? – spytałam Lucynę.

Powiedziała, że nie, że to małe miasto, w którym prawie nikt się nie wyróżnia.

– Co jest we mnie takiego innego? – drążyłam.

Lucyna zawahała się, zwlekała z odpowiedzią. Musiałam ją zachęcić, zapewnić, że może mi powiedzieć, co myśli i co widzi. W końcu wydukała:

– Nie interesujesz się mężczyznami. Nie flirtujesz. Nie randkujesz. Nie bzykasz.

SZEFOWA. Agnieszka wprowadziła w firmie zmiany na lepsze. Zawsze schludnie ubrana, zawsze miła, pełna entuzjazmu, a przede wszystkim zawsze skoncentrowana na pracy. Zaczęłam tego wymagać od innych. Bo ile można słuchać o tym, że mąż nie pomaga, że dzieci płaczą w nocy, że rodzice się starzeją? Rozumiem, że każdy ma swoje problemy, swoje realia i emocje, ale ja nie płacę za przeżywanie ich w czasie pracy.

I to się nie spodobało. Pracownica mi raz powiedziała, że mam serce z kamienia, gdy jej przerwałam w pół słowa, że jej sprawa rozwodowa to nie jest temat do dyskusji podczas porannego *team meetingu*. Poskarżyła się mojemu mężowi, który generalnie nie zajmuje się personelem, nie ma do tego smykałki, daje się ludziom urobić. Jakby mąż zarządzał, już dawno byśmy poszli z torbami, a nie inwestowali w fotowoltaikę.

Ale ja postawiłam na strategię profesjonalizacji załogi. Owszem, parę osób odeszło, ale to pozwoliło mi zatrudnić ludzi, którzy rozumieją moją wizję i nie boją się umowy o dzieło. Na mieście powiało chłodem, ale ja wiem, za które sznurki pociągnąć. Zatrudniłam córkę policjanta i syna burmistrza.

Ani jedno, ani drugie długo u mnie pewnie nie pobędzie, są tutaj, bo bez wsparcia rodziców nie poradzi sobie poza powiatem. U mnie nabierają doświadczenia i umiejętności. Ja się na to godzę, to cena spokoju i współpracy.

Mąż? Wspieramy się w naszych wspólnych celach. Wiemy, które w czym jest dobre. Ja pilnuję kadr i żeby budżet nam się spał. Mąż jest od inicjatyw i inwestycji. Ma do tego dar. Ma wizję. Poświęcamy wspólny



czas na rozmowę, na wyjazdy. To podczas takich wypadów za miasto, na długi weekend, rodzą się świetne pomysły. Człowiek odpoczywa, nie myśli o problemach i raptem coś wydaje się możliwe. Taki wyjazd to szansa, żeby spojrzeć na wszystko z nowej perspektywy, szerzej i bardziej tolerancyjnie.

AGNIESZKA. Zaczęłam się przyglądać miescowym kawalerom. Spory odsetek po rozwodzie lub z dzieckiem z wolnego związku, kilku z wyrokami za kradzież. Jest grupa maminsynków, przypiętych do cyca i portfela, wciąż mieszkających w swoich nastoletnich pokojach – bez ambicji, bez planów, bez pracy. Spotkałam też chodzące seksmasy, w każdy weekend inna albo w każdy weekend dwie. I jest jeszcze grupa mieszkana w rozklekotanych samochodach osobowych: pracuje, pije, pobije.

Najlepsze partie w mieście to żonaci. Co do tego nie ma sporów. Prawdziwi ojcowie polscy, co weekend na rowerze z rodziną na ścieżce zdrowia, dwa wieczory w tygodniu na boisku, a do tego kwiaty dla małżonki na rocznice i urodziny. Dbają o siebie:

fajne fryzury, umięśnione brzuchy, czyste spodnie, dobrane marynarki. Niby zajęci, ale wciąż się kobiety do nich ustawiają. Jednego z nich, ojca Polaka z krwi i kości, który pracuje w mojej firmie, spotkałam z sekretarką w pomieszczeniu z dokumentami archiwalnymi. Spódnica zadarta pod jej pachy, jego spodnie spuszczone do łydek. Zajęci.

BIBLIOTEKARKA. Pewne rzeczy widać wyraźniej z boku. Tak jak sen, spacer czy kilka oddechów pozwalają, żeby wewnętrzne emocje i myśli się ułożyły, tak też spojrzenie z zewnątrz wyostreza to, co wydaje się zagmatwane i niejasne. Agnieszka właśnie taką boczną perspektywę wniosła do mojego życia i choć najpierw przstraszyłam się tego, co ona widzi, potem pomogło mi to zweryfikować własne spojrzenie na moją rzeczywistość. Pomogło mi tak naprawdę odżyć.

Na przykład rozmowy prowadzone przez tutejszych. Agnieszka zwróciła mi uwagę, że prawie wszystkie gadki w gronie mieszanym męsko-damskim są o posiadaniu. Zaczynasz z kimś rozmawiać i zaraz się dowiesz, ile czego mają: mieszkań, samochodów, dni wolnych, wycieczek zagranicznych, bluzek, butów, dzieci, wnuków, miejsc w grobowcu. Wyliczają przy sałatce, schabowym, lodach włoskich i kawie. To posiadanie im tak przed oczami stoi, tak na języki się wypycha, że oceniają innych tą samą miarką – nie jest ważne, kim jesteś, ale co masz.

Albo rozmowy między kobietami, że są prawie zawsze o prowadzeniu domu: co zrobić, by ręczniki były miękkie, puszyste po praniu i nie pachniały stęchlizną, wilgocią, potem i zużyciem? Broń boże nie pierz z dodatkiem środków zmiękczających, dolej ocet, nastaw pranie na dwie godziny w 60 stopniach, wysusz w suszarce, a nigdy na słońcu, pierz w niemieckim proszku. I to nieustanne zachwalanie swojego sposobu, powoływanie się na lata praktyki i kilogramy wypranej bawełny.

Przyznaję, najpierw pomyślałam, że Agnieszka się czepia, że całe nasze towarzystwo uznaje za wypaczone, gorsze, niewykształcone i prowincjonalne. Ale po jakimś czasie zrozumiałam, że ona zwyczajnie zauważała to, co ją dziwiło, czego nie znała.

Gdy zaczęliśmy ze sobą rozmawiać, okazało się, że głównie próbujemy ugryźć dość zawile i krnąbrne zagadnienie spełnienia życiowego. Wyszło na jaw, że snu z oczu nie spędzają nam nieopłacone rachunki czy nieodmówienia w pracy, ale właśnie te nieskoordynowane poszukiwania sensu życia i naszego miejsca w świecie. To może wszystko brzmi metafizycznie, ale właśnie o tym rozmawiamy najczęściej. O tkance naszego życia, nie o ludziach z miasta. I rozmawiamy o tym w obcym języku, co jakoś potęguje powagę sytuacji, nasze starania i dedukcje wydają się jeszcze bardziej intensywnie, a przez to prawdziwie.

Ostatni raz takie rozmowy prowadziłam we wczesnych latach licealnych, z koleżankami od serca, zanim zostałyśmy zaprzęgnięte w pogoń za chłopakami, w teatr bluzek z dekoltem i spódnic ledwo zakrywających pośladki. Pamiętam, jak jednego letniego wieczoru rozmawialiśmy z psiapsiółkami o sensie istnienia, używając dość skromnych słów, krótkich wyrazów, a miesiąc później, wczesną jesienią, zostały już tylko dialogi na temat makijażu, modnych grzywek i majtek, które nie przebijają przez spodnie.

To Agnieszka zasugerowała, że ludzie, by jakoś ugryźć temat sensu życia, robią to czynem, nie słowem. To wewnętrzne tykanie duszy zagłuszają zdradą, butelką taniego wina, rozwodem, nowym autem albo kolejnym dzieckiem.

—
AGNIESZKA. Zainteresowałam się Igorem, kolegą z pracy. Zainteresowałam się nim teoretycznie. Zaczęłam się przyglądać naszemu potencjalnemu życiu razem. Igor jest po studiach i po rozwodzie. Ma dzieci z byłą żoną, której zostawił dom. Dziewczyny, dla której porzucił swoje ułożone życie, już nie ma. Więc teraz on ma w sercu ból. Dlaczego odeszła? Wciąż widać, że mu wstyd, że się oglądał za kimś innym, że ta nowa tak go omamiła, że zostawił rodzinę. Widać, że jest w nim złość, którą, póki co, wyrzuca z siebie, waląc pięścią w stół. Często gdy mówi, to swoje argumenty podkreśla właśnie kończynami górnymi, głośno i zamasyście. Meble się trzęsą pod jego pięścią. I ten ból, i wstyd z tą złością i niezrozumieniem mu się mieszają w oczach.

Bycie z Igorem, przypuszczałam, skończyłoby się na obdukcji. Nie byłam w stanie wyobrazić sobie naszych wspólnych wieczorów, kiedy nie lampimy się w telewizor, nie upijamy do snu albo kiedy moje ciało nie jest używane przez ciało Igora. Możliwe, że te scenariusze by się nakładały. Upici, przed telewizorem, kopulujemy. I marzyłam, że znalazłabym w sobie dość rozsądku, żeby od razu pójść to zgłosić temu gliniarzu, co to radiowozem pełźnie po ulicach miasteczka, co oczyma mierzy mi obwód ud. Jemu bym opowiedziała, co Igor mi zrobił. Marzyłam też, że moje zeznania i zdjęcia złamanego obojczyka i obitych żeber (podejrzewałam, że Igor biłby tak, żeby nie od razu było wiadać) potraktowano by na serio.

Przez tydzień tkwiłam w tym teoretycznym związku z Igorem. Starłam się podporządkować jego rytmowi, przymierzyć się do życia z tym mężczyzną. Wyobrażałam sobie te wszystkie posiłki, pranie, masowanie ramion, podtrzymywanie na duchu, odbieranie telefonów od jego mamy, prezenty dla jego dzieci, dzieci, o których on nie pamiętał, zachowywanie neutralnego wyrazu twarzy, bladego uśmiechu na mieście, przy spotkaniach z jego byłą żoną. Wyobrażałam też sobie kłótnie o pieniądze, bo Igor zawsze mówił o pieniądzach.

Było mi lepiej, luźniej, spokojniej, gdy się wreszcie rozstaliśmy. Spakowałam go i wystawiłam jego walizki poza moją wyobraźnię. Byłam przekonana, że taki mężczyzna tylko by mi w życiu zawadzał.

—
KOLEGA Z PRACY. Owszem, przeglądałam jej biurko i robiłam zdjęcia, ale nigdy niczego nie wziąłem. Lepiej mieć cyfrowe kopie, niż zostawiać odciski palców. Te jej notatki i focie nie układały się w jedną całość, więc zacząłem przekopywać też kubeł na śmieci. Ale interesująco zrobiło się dopiero wtedy, kiedy na kartce papieru, która wypadła jej z kieszeni płaszcza pod pracą, znalazłem adres jej bloga.

—
AGNIESZKA. Postanowiłam, że zostanę narzeczoną. Na niby, ale naprawdę. Dałam mu na imię Darek. Kupiłam sobie od niego pierścionek w innym województwie. Mały brylant, białe złoto. Dałam nam trzy miesiące, żeby

Czytaj felietony publikowane tylko online:



Bocznymi drogami

ANDRZEJ ANDRYSIAK

O tym, czego nie widać z warszawskiej ulicy Marszałkowskiej.



Błąd systemu

SYLWIA CZUBKOWSKA

O kosztach innowacji, które płacimy już dziś i za które przyjdzie nam zapłacić w przyszłości.



Pismo ze świata

PAWEŁ MARCZEWSKI

O nowych wydarzeniach, zjawiskach i trendach ze świata.

się lepiej poznać. Potem wyjechałam na długi weekend, żeby się zaręczyć. Nad morze, poza sezonem. I ten czas przeznaczyłam na to, żeby go wymyślić: kolor włosów, charakter, zawód. Te wszystkie detale, o które ludzie tak chętnie pytają. Wkleiłam w nowy zeszyt wycinki z gazet i magazynów. Taką koszulę by nosił, takim samochodem jeździł, dobra praca na stanowisku w banku. Gdzie? W stolicy. Daleko, tak, rzadko się widzimy, turystyka, którą ja się interesuję, nie pasuje do dużych miast. Rodzina? Tak, jest z lubelskiego, ma tam rodziców i młodszą siostrę Kasię. Jak się poznaliśmy? Po nowoczesnemu, przez internet. Oboje uwielbiamy morze, to nad Bałtykiem chcemy się pobrać i zamieszkać. Kiedy? W przyszłości, nie ma się co spieszyć, zostały mi jeszcze dwa lata kontraktu. Trzeba zaoszczędzić na wesele. Jak w puzzlach, każdy element łączył się z poprzednim.

Najgorsze w tym wszystkim było okłamywanie Lucyny i dręczenie jej wyimaginowanymi problemami z Darkiem, ale to było i dla jej, i dla mojego dobra.

SZEFOWA. Przyznam, że zaniepokoił mnie pierścionek na palcu Agnieszki. Nie dlatego, że był mały i skromny. Z biznesowego punktu widzenia kobieta młoda i zamężna to problem. Macierzyński i choroby dzieci to pikuś. Chodzi o zmianę psychologiczną, bo kobiety zamężne są zachęcane do spychania spraw zawodowych na drugi plan, a na plan pierwszy wysuwa się mąż. Sama mam męża, to wiem.

Ja tego Darka od razu chciałam poznać i fakt, że on nie jest tutejszy, bardzo mnie uspokoił, a jednocześnie do niego zniechęcił. Miejscowi mężczyźni są chowani w tradycji „kobiety do garów”, własne matki tak ich programują, nie uczą szacunku do kobiet pracujących, zarabiających. Więc miałam nadzieję, że Darek będzie inny.

Ale martwiłam się, że mężczyzna nie stąd nie będzie chciał tutaj osiąść, a miałam plany co do Agnieszki. Nowy kontrakt, lepsze warunki, kolejny innowacyjny pomysł rozwoju, szkolenia i podwyżka.

Gdybym miała syna, chowałabym go jak kobietę: pielęgnowała w nim wrażliwość, emocjonalność, umiejętności praktyczne i manualne, takie jak gotowanie, kiszenie

ogórków, robienie na drutach. A jednocześnie oczywiście języki, ambicja, pracowitość, wytrwałość, dokładność i charyzmatyczność. Bez tego trudno sobie w życiu poradzić.

Co do Darka, to spodziewałam się mężczyzny trochę od Agnieszki starszego, krępego, w koszuli, z samochodem klasy C i kawalerką po dziadkach.

BIBLIOTEKARKA. Bardzo się ucieszyłam, gdy mi Agnieszka zaczęła opowiadać o Darku. Mało komu związek internetowy wychodzi na dobre, a u niej było różowo. Romantyczne spotkania nad morzem i stylowy pierścionek. Oni zawsze byli na wyjeździe. To się niestety odbiło na naszej przyjaźni, widywałyśmy się rzadziej i rozmawiałyśmy krócej.

Dziwiło mnie, że nigdy tu nie przyjeżdżał. Ten brak zainteresowania codziennością Agnieszki i jej pracą mnie martwił. Myślałam, że ją wystawi do wiatru, jak się nią nacieszy. Ale to trwało i trwało. Rozwijало się w sposób mało dramatyczny. To był taki normalny związek, bez burz i sztormów. Zazdrościłam jej tego i mówiłam o tym otwarcie, bo chciałam, żeby się o Darka bardziej starała. Mówiła, że się czasem kłóca, ale gdy pytałam o co, to wychodziło, że o głupoty.

U nas romans ma się przeważnie z nudów. Sąsiad z sąsiadką jest najczęstszą odmianą. Są takie klatki w blokach, gdzie jeden sąsiad romansował jednocześnie z dwiema sąsiadkami. Są takie klatki, gdzie jedna sąsiadka romansowała z dwoma sąsiadami naraz. Ale rozwody to droga sprawa, nie każdy się decyduje. Zdecydowanie taniej jest wybaczyć, a najtaniej udawać, że się nie wie, nie widzi i nie przeczuwa. Taką metodę odpornościową stosuje wiele osób, w różnym wieku. Popiera ją też proboszcz.

Agnieszka się zawsze śmiała z tych romansów. Opowiadała, ile już osób nakryła w pracy i jak przestała informować o tym szefową, która kwitowała to słowami „zostaw te nagniotki”.

NARZECZONY. Rozniosło się, że zaręczona. Błyskała pierścionkiem pod kościołem, do którego nie chodziła. Taki brak katolickich wartości to mi się nie podoba u kobiet. Tutejsze do

kościół idą w nowych kieckach i od razu wiadać, że niedziela. Jest to taki moment na spotkanie się. Kościół wszystkich wiernych nie mieści, więc mężczyźni głównie stoją pod. Tak nawet i łatwiej, żeby zahaczyć o tematy poważniejsze, biznes na przykład, jakieś plany na przyszłość, bo tak w tygodniu to każdy zavalony robotą i rodziną.

A Paszcza w tym swoim stroju weekendowym, takim dresie, przechodziła obok, błysk pierścionka, do auta i sru, w dal. Potem się okazało, że często zwiedzała plażę, że jakieś bloga miała, no i były też na nim zdjęcia, od których zjeżyły mi się włosy na głowie, a ręce same zacisnęły w pięści. Tak to się wszystko wydało.

AGNIESZKA. Mówią, że ją uwiodłam. To dla mnie taki małomiasteczkowy skrót myślowy; „dobrej kobiecie” się nie pozwala na zachowanie wykraczające poza tutejszą normę. Gdyby romansowała z facetem, nie byłoby problemu. Prawda jest jednak taka, że to ona, ona, ona mi pierwsza włożyła język do ust i rękę do majtek. Tylko nie mam na to dowodów.

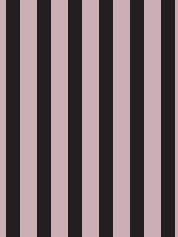
BIBLIOTEKARKA. To był szok, poczułam się zdradzona, gdy Darek okazał się Dorotą. Dorota to tutejsza piękność. Wszyscy mówili, że związek z Kamilem jej nie służy, że przy nim zbladła i przygotowania do ślubu pewnie spełzną na niczym. Wszyscy byli przekonani, że Kamil to chłopak na przeczekanie, aż się pojawi lepsza partia.

Ale romans z kobietą był bezprecedensowy i chyba dlatego nikt nie wiedział, jak się zachować. Wstyd mi, że ja też się od niej odwróciłam.

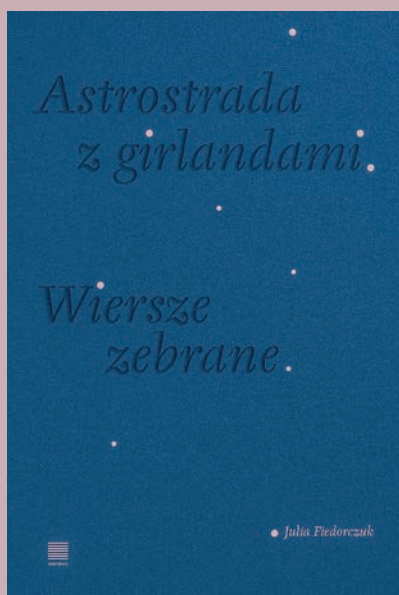
KOLEGA Z PRACY. Teraz myślę o karierze detektywa, to bardziej ciekawe niż agroturystyka i musi być lepiej płatne.

SZEFOWA. Tak, mam wyrzuty sumienia, ale musiałam ją zwolnić.

NARZECZONY. Uderzyłem ją tylko raz, ale nie mocno.

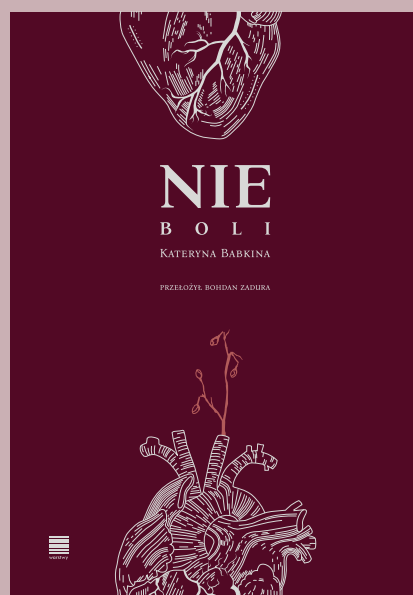


Premiery Wydawnictwa Warstwy na 8. Międzynarodowym Festiwalu Poezji Silesius 15–21 maja 2023



Astrostrada z girlandami
Julia Fiedorczuk

*Sąsiadki. 10 poetek
niemieckich*
tłum. Karolina Bikont,
Emilia Leszczuk,
Maria Migodzińska,
Tomasz Ososiński, Artur Pełka,
Dorota Stroińska



Nie boli
Kateryna Babkina
tłum. Bohdan Zadura



Bertrand Piccard okraża świat

tekst BEN TAUB

przetłoczył JAN DZIERZGOWSKI

JEGO DZIADEK POBIŁ rekord wysokości lotu. Ojciec dotarł na dno Rowu Mariańskiego. Skoro tak, Bertrand postanowił, że również zapisze się w historii.

Każdego zimowego ranka pierwsze promienie słońca w wiosce Château-d'Œx w Alpach Szwajcarskich pojawiają się jako ostre okruchy światła promieniającego zza zboczy pobliskich gór. Potem światło schodzi pomału w dolinę i obmywa ziemię. Cieplesze powietrze z wioski, nagrzane słońcem, wędruje w górę, zimne powietrze w dół, aby wypełnić powstałą przestrzeń, po czym nagrzewa się i zaczyna się unosić ku alpejskim szczytom. Nocą kierunek cyrkulacji powietrza się odwraca. – To jak oddech góry – mówi szwajcarski lotnik Bertrand Piccard.

Przed świtem „oddech na chwilę ustaje”. – Jest zimno, powietrze się nie rusza – ciągnie Piccard. Tak właśnie było pewnego wczesnego ranka w 1999 roku, gdy kilkadziesiąt okolicznych mieszkańców zebrało się na polu niedaleko kościoła, gdzie czekał już wielki balon, dziewięcioletni twór z nylonu, aluminium i stali. Chmury zasnuły niebo, dolina wypełniła się mgłą, a tymczasem załoga z pomocą miejscowych przygotowywała balon do startu. Gdy o świcie

wypełniło go powietrze, był niemal tak wysoki jak Krzywa Wieża w Pizie. Miał dziewięć razy większą objętość niż zwykłe balony i zamkniętą gondolę, w której utrzymywano stałe ciśnienie powietrza, dzięki czemu mógł wznieść się na wysokość przelotową typową dla komercyjnych samolotów. Nosił nazwę Breitling Orbiter 3, na cześć sponsora, znanego producenta zegarków. Nigdy jeszcze nie został w pełni napęczniony – nastroczało to zbyt wielu trudności – postanowiono zatem obyć się bez lotu próbnego. Breitling Orbiter 3 miał wznieść się po raz pierwszy w powietrze i od razu ruszyć w podróż dookoła kuli ziemskiej.

O piątej nad ranem Piccard wygrzebał się z łóżka i razem z drugim pilotem, brytyjskim baloniarzem Brianem Jonesem, zjadł szybkie śniadanie składające się z musli i herbaty. Potem wrócił do swojego pokoju i zwymiotował. Tego dnia kończył czterdzieści jeden lat. Podjął wcześniej dwie próby okrażenia Ziemi, ale obie zakończyły się niepowodzeniem. Pierwszy prototypowy balon, wart milion dolarów, uległ zniszczeniu, gdy trzeba

było awaryjnie lądować na Morzu Śródziemnym. Drugi musieli porzucić w Mjanmie. Piccard nie był jedynym baloniarzem, który zaznał smaku porażki – nikt jak dotąd nie zdołał okrążyć kuli ziemskiej balonem bez międzylądowania, choć w ciągu poprzedniej dekady zorganizowano kilka ambitnych wypraw. Teraz jednak Piccard miał szczególne powody do niepokoju: parę dni wcześniej wystartowała ekipa jego rywali, którzy zdążyli już przebyć solidny kawałek drogi.

Po wschodzie słońca zerwał się wiatr i balon zaczął się kołysać. Z powłoki wydobywały się kłęby helu, przywodzące na myśl suchy lód, pobrzękiwały zbiorniki wypełnione propanem, przyczepione na zewnątrz gondoli. Piccard i Jones szybko weszli do środka. Jacques, ojciec Piccarda, przetaił uszczelkę we włazie chusteczką i pomachał im na pożegnanie.

Radio zostało włączone, wysokościomierz skalibrowany, usunięto zabezpieczenia, włączono systemy dostarczające powietrze do gondoli, sprawdzono zawory. Podczas procedury przedstartowej mocno kołysało gondolą, przyczepioną do ważącej pięć ton ciężarówkę, i obaj piloci czuli się jak w pralce. Potem jeden z członków ekipy odpowiedziałnej za przygotowanie startu przeciął linę szwajcarskim scyzorykiem i Piccard z Jonesem wystrzelili ku niebu.

